

“Fortuna mortuis fave”

– Uwaga! – wykrzyknął ktoś. Jego donośny krzyk uniósł się nad ulicą, aby po chwili urwać się i całkowicie zamilknąć.

Wszystko dookoła zastygło, jak na obrazku. Twarze zatrzymane z mieszaniną dezorientowania i strachu. Wszystko wstrzymane, jakby malarz zastanawiał się jakie barwy nałożyć następne. Wahał się pomiędzy łagodnymi barwami a intensywnym czerwonym.

Najwyraźniej artysta zdecydował się na ten drugi. Tłum nagle ożył, po chwilowym bezruchu. Wybuchnął absolutny i przerażający chaos. Ludzie zaczęli biegać, wpadać na siebie, krzyczeć. Niezidentyfikowany stwór czał się w cieniu, po czym atakował przypadkowych przechodniów.

Ulica spłynęła krwią. Maź rozprysnęła po szarych kamieniach. Dzieci uczepliły się matek.

Te targały je za małe rączki, starając się przedrzeć przez niekończący się potok ciał.

Trzy burze rudych loków podskakiwały, próbując się wydostać. Jedna wysoka, dwie małe. Laleczki w różowych sukienkach obijały się o własne pantofelki. Przerażona matka z każdą chwilą traciła siły. Biegła, starając się poderwać je na ręce, pod bok, na plecy – gdziekolwiek. Uchronić przed niebezpieczeństwem pod matczyną peleryną. Jednak zbyt wolno, zbyt nieudolnie. Za nimi podążał cień, chowający się w mroku. Bez szmeru ani choćby lekkiego stuknięcia przemyczał po bocznych uliczkach. Wytężony, wszystkowidzący wzrok śledził ofiary, aby chwilę później znów skoczyć.

Brandon rozejrzał się dookoła. Panujący zgilek wywoływał u niego zawroty głowy. Strażnicy dopiero wracali z przerwy. Byli zbyt daleko. Nie zdążą dobiec – strzeliła mu przez głowę ta przerażająca myśl.

Wcale nie tak miał wyglądać jego pierwszy dzień strażnika. Liczył maksymalnie na pijaka, którego trzeba by było opanować i odprowadzić do domu. Los widocznie za nim nie przepadał...

Dobyl miecza, jeszcze nieskazitelnie czystego. A gdyby go dotknąć nagim palcem, zapewne nadal był ciepły. Wziął głęboki wdech, starając się uciszyć grzmiący szum w jego uszach. Rzucił się do biegu, jednak czuł jakby ledwie brodził butami o muł jeziora. Pośpiesznie włożył hełm na głowę. Był tak nieprzygotowany! Naiwny, naiwny, naiwny! Oczywiście, iż na jego warcie musiało się coś wydarzyć.

Przeciskał się między - i tak już wystraszonymi - ludźmi. Ci odskakiwali od niego jak poparzeni. Zaczął ich odpychać, nie zastanawiając się, czy upadną. Czuł, jak czas przesypuje mu się przez palce. Liczyła się każda sekunda. Odległość zamiast zmniejszać, rozciągała się.

Śledził wzrokiem ogniste loki. Coraz to bardziej zwalniały. Kreatura powoli traciła cierpliwość. Częściej wyłaniała się z mroku, który połowicznie sama tworzyła. Jednak nadal na zbyt krótko, aby ją zdefiniować.

Przebrnął przez tłum. Widział już ich twarze, wykrzywione w zastygłym przerażeniu. Stwór już się zasadzał. Brandon zatrzymał się, omal się nie wywracając. Przybrał pozę do ataku, którą ćwiczył przed kilkoma godzinami, w zaciszu domu. Kolana lekko ugięte. Miecz na poziomie głowy. Zagrzmiało mu w głowie.

A później zrobił coś bardzo, bardzo głupiego.

– Hej, ty! – wykrzyczał chwiejnie. Jednak jego głos zgubił się w ogólnym poruszeniu. Zebrał w sobie całą odwagę – którą nawet nie przypuszczał, że posiada. Wrzasnął, zużywając całą zawartość płuc:

– Ty, poczwaro!

Potwór, który przed momentem wychylił się ze swojej kryjówki, odwrócił się powoli. Całkowicie stracił zainteresowanie rodziną. Stał na dwóch nogach, przez co urósł do dobrych pięciu metrów. Ciało pokrywało mu gęste, czarne jak smoła futro. Na końcach palców miał zakończone jak haki pazury. Brandon widział przed sobą gmosa w całej swojej okazałości.

Nagle uderzyła w niego odpowiedzialność wszystkich swoich czynów. Poczuł, jak nogi uginają się pod nim. Na czoło wstał mu pot.

Gmos widocznie nie lubił, gdy mu się przerywa żer. Nie zastanawiając się, zaatakował. Strażnik na szczęście wyczuł to i odskoczył. Dokładnie pamiętał, że uczył się o nim. Ba, znał nawet nazwę potwora po łacinie. Jednak jak z nimi walczyć?!

Zobaczył pazur lecący centymetry przed jego twarzą. Zamachnął się mieczem, ale za późno. Starł się kontrować, lecz gdy tylko wyprowadzał ciosy, kreatura przemykała w bok jak cień. Albo wprost przeciwnie, rozpoczynała morderczą szarżę. Zapewne wydawało jej się to zabawą. Jednak z każdym ruchem robiła się coraz bardziej nerwowa.

Brandon opadał z sił. Odcięcie łap nie wchodzi w rachubę. Gmos był zbyt wielki, aby go obalić. Miotał się. Chłopak nie widział co się dzieje wokół niego. Nie słyszał nic oprócz swojego przyspieszonego oddechu i ryku monstrum.

Strażnik wystosował szybkie cięcie poziome. Prosto po brzuchu. Jednak mimo tego potwór zdołał umknąć w bok. Machnął ogonem prosto w twarz Brandona. Ten zachwiał się. Gmos, nie tracąc sekund, skoczył na niego. Obaj polecili w tył.

Brandon uderzył z całą mocą w stragan stojący za nim. Drewniana deska złamała się w pół, rozbijając się na drzazgi. Boleśnie wbiły mu się w ciało. Zleciał jeszcze niżej – na kamienne kostki. Rozrywający ból przeszył mu głowę. Świat przed nim zawirował. Niewyraźnym wzrokiem zobaczył olbrzymią paszczę. I kły z niej wystające.

Z całą mocą zaczął odpychać się rękami. Zagubione przedmioty i kamienie wrzynały mu się w dłonie. Wypętlł spod stwora, ale dopiero wtedy zauważył, że nie ma przy sobie miecza. Musiał gdzieś upaść podczas szamotaniny. Chłopak gorączkowo rozglądał się dookoła. Gmos jednakże nie tracił czasu. Opadł na dwie łapy i przeraźliwie zaryczał. Brandon dostrzegł za nim swoje ostrze. Szybko odbił się od ziemi i skoczył w półobrocie. Dokładnie pamiętał to z treningów.

Wylądował za potworem, złapał miecz i wykonał najsilniejszy cios, na jaki było go stać. Ciął gmosa od dołu po krótkich nogach, powalając go przy tym na ziemię.

No tak, głowa! Odskoczył od leżącego monstrum w lewo. Wziął zamach i spuścił żelazo prosto na czoło gmosa. Ostrze z łatwością przedarło się przez skórę. Udało się! Nie potrafił w to uwierzyć! Odwrócił się, aby zobaczyć co się stało z kobietą i dziećmi. Wciąż kuliły się niedaleko, na schodach sklepu.

Wtem poczuł, jak pazury przechodzą mu przez skórę. Jego plecy zapłonęły żywym ogniem. Mimowolnie krzyknął i padł na kolana. Zdawało mu się, że umiera. Czekał, aż padnie cios ostateczny. Jak mógł się ludzić, iż zdoła pokonać gmosa? Oczekiwał w bezdechu, jednak nie poczuł już nic więcej. Za to do jego uszu doszedł lament ludzi.

Nie! Zerwał się jak porażony. Ale przed sobą ujrzał poległego stwora. Nad nim unosił się odór nadzwyczajnie szybko rozkładającego się mięsa. Usłyszał za sobą poruszenie. Chłopak podszedł ostrożnie do jego źródła. Płacząca dziewczyna wtulała się w swoją matkę. Przykucnął obok nich i starał się wypatrzeć jakieś rany.

– Już dobrze, miła kobieto. Jesteście bezpieczne – starał się uśmiechnąć pocieszająco.

– Krwawi pan – odparła tylko dziewczyna. Wskazała palcem na jego plecy.

Obejrzał się przez ramię i ujrzał, że cały tył skórzanej zbroi jest nasiąknięty krwią. Na całej długości ciągnęły się trzy wielkie ślady pazurów.

– Psiakrew!

Poczuł jak cała adrenalina z niego opada. Zakręciło mu się w głowie. Był bardzo, ale to bardzo zmęczony. Reszta strażników zajmowała się ludźmi dookoła. Nie obyło się bez ofiar. Kilku ludzi ładowało martwe ciała na wóz. Brandon odwrócił wzrok. Udało mu się, ale co z tego skoro i tak umarli poczciwi ludzie?

Pozbierał swój miecz i chwiejnym krokiem się oddalił. Za nim ciągnął się krwawy ślad podeszw, i jak mogłoby się zdawać, kilka dusz.

*

Żar z paleniska ogrzewał mu lico. Powoli pociągał ziołową herbatę z kubka. Nie cierpiał trwonić wody, ale cały alkohol wykorzystał na przemywanie ran. Chciał jednak uczcić jakoś swoje wątpliwe zwycięstwo.

Patrzył smętnie na swoją pustą chatę. Pokój był skąpany w ciepłym świetle ognia, który podkreślał mrok i cień. Jakimś cudem to sprawiało, że chłopak posmutniał jeszcze bardziej. Przed nim stał mały stolik, który dostał od ojca. Poza nim niewiele posiadał oprócz kanapy (stanowiącej też łóżko), paleniska, kilku krzeseł i kolekcji kubków. Nie było tu nawet skrzyni – zwyczajnie nie miałby czego tam trzymać. Jedyną jego ozdobą to miecz, nadal z lekka umorusany krwią, powieszony na ścianie obok rysunku z dzieciństwa. Obrazek wisiał tam przez wielokrotne namowy matki. Na starość stała się strasznie sentymentalna.

Brandon uśmiechnął się pod nosem. Nagle poczuł się straszliwie samotny. Nigdy nie miał wielu przyjaciół. A teraz, gdy już wyprowadził się od rodziców, nie został już nikt, z kim mógłby porozmawiać. Mimo tego że, często się wadzili, wielce za nimi tęsknił. Oczywiście, nie rzekłby im tego, ale ból w sercu pozostawał.

Ogarnęło go zmęczenie. Fizyczne jak i psychiczne. Powieki co chwila opadały mu na oczy, a on nie potrafił już z nimi walczyć. Gdy już planował się położyć, rozległo się pukanie. Przez pierwsze sekundy zdawało mu się, że sobie to wyobraził. Jednak już po chwili powtórzyło się.

– Proszę! – wykrzyknął. Zapewne matka, pomyślał. Może już usłyszała o zdarzeniach

na podgrodziu i chciała sprawdzić, jakże się czuje. Albo biadać nad tym, że tak ryzykuje. Chociaż on sam na wspomnienie walki miał dreszcze.

Jakże się zdziwił, gdy usłyszał w holu ciężkie buty. Serce zamarło mu na moment.

Zza winkła wyłoniła się sylwetka kapitana straży – Zygryda. Gdy zobaczył Brandona, na usta wstąpił mu ciepły uśmiech. Chłopak na ten widok momentalnie się rozluźnił.

– Widzę, żeś zdrow. Rad jestem – przywitał go mężczyzna.

– Dzięki, mości panie – odpowiedział młodzieniec. Był zaiste wdzięczny kapitanowi za szansę w straży.

Mężczyzna odwrócił się do dwójki strażników, którzy przyszli razem z nim. Zaczął wydawać im rozkazy ściszym głosem. Brandon niestety nie mógł nic dosłyszeć, więc siedział w oczekiwaniu.

Zygryd był postawnym mężczyzną po trzydziestce. Swoje stanowisko utrzymywał od ponad pięciu lat, co tutaj stanowiło duży wyczyn. Jednakże nie było się czemu dziwić – świetnie walczył, a i umysł miał tęgi. Do tego zazwyczaj władał lekką ręką. Takiego człowieka aż przyjemnie się słuchało. Choć jeśli okoliczności tego wymagały, potrafił być surowy i stanowczy.

Brandon miał szczęście, że ten zaufał, iż chłopak z niezamożnej rodziny również coś potrafi. Przy tym zawsze traktował go na równi z innymi. Młody strażnik obiecał sobie, że go nie zawiedzie. Miał nadzieję, iż dziś tego dowiódł.

Przybocznicy po krótkiej rozmowie, opuścili chatę. Gdy odgłos ciężkich kroków ucichł, kapitan zbliżył się do gospodarza. Chłopak zerwał się, aby zrobić miejsce dla kapitana, a sam siadł na koślawym krześle. Jednak rana na plecach o sobie przypominała, parząc go przeraźliwym bólem. Z nieopanowanym jękiem, opadł w dół.

– Ach, widzę rany bitewne. Mam nadzieję, że nie przychodzę niewczas – uśmiechnął się lekko Zygryd. – Spokojnie, chłopcze, zadowolę się krzesłem. Spróbuj wysiedzieć kilka godzin w strażnicy – to są dopiero męki!

Rozsiadł się na stołku i dumnie oparł się o stół. Przypatrywał mu się, jakby starał się wypatrzyć więcej obrażeń. Na szczęście szrama na głowie nie okazała się poważna. Gorzej z dłońmi. Nadal pozostawały całe posiniaczone i obolałe. Zdarł sobie większość skóry, co piekielnie bolało.

– Gmos, co? – kapitan sięgnął przez stół, aby poklepać go po ramieniu. Chłopak z trudem stłumił grymas bólu. – Dobra robota, chłopie. Jenemu nadal nie wiem, jak żeś tego dokonał.

Uśmiechnął się do niego z szczerą dumą w oczach. Połowa zasługi leżała po jego stronie, bo to on pomagał Brandonowi w treningach. Młodzieniec siedział w niekomfortowej ciszy. Nie czuł się zwycięzcą. Oczywiście, taki wyczyn w pierwszy dzień to coś wielce rzadkiego. Jednak ludzie umarli, bo on był zbyt wolny.

Zygryd również posmutniał, jakby czytał w myślach chłopaka.

– Razem straciliśmy siedem osób – powiedział z nieukrywanym żalem. – Pan Henryk jest jedną z ofiar. Pamiętasz, trochę podstarzały medyk?

Brandon pokiwał smętnie głową. Znał go; często pomagał mu w dzieciństwie. Nie zliczyłby godzin, które przesiedział w jego aptece.

– A co z tą niewiastą i jej dziećmi? – odezwał się cicho chłopiec.

– Nie trap się, nic im nie jest. Matka jest jeszcze trochę w szoku, ale dzieci chyba nie rozumiały, co się dzieje. Kazałem jednemu z moich ludzi odprowadzić je do domu.

– Dziękuję – odparł Brandon. Nie sposób mu było przestać myśleć o jej przerażonej twarzy.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że od kilku minut zaciska w rękach gorący kubek z herbatą. Stracił już czucie w dłoniach.

– No, a jeśli się o potwora rozchodzi – Zygfryd oparł się o siedzenie – myślimy, że przedarł się przez dziurę w murze. Stosunkowo nową. Zbieramy chętnych, aby ją naprawić. Nic już się nie przecisnie.

– Ale skąd gmos tutaj? Myślałem, że dawno już się stąd wyniosły.

– Też tak myśleliśmy. Może nowe pokolenie? Licho wie, co z tymi stworami jest.

Młodszy strażnik pokiwał głową. Zaczął się rozglądać po swojej chacie. Nagle zrobiła się o wiele mniejsza i brzydsza. Spłynął na niego wstyd, że kapitan widzi to miejsce. Zapewne jest przyzwyczajony do pięknych tkanin i skór. A teraz musiał siedzieć w dusznej chacie jakiegoś pacholka.

Poczuł wzrok mężczyzny na sobie. Zawstydzony, powoli odwzajemnił spojrzenie. Zygfryd wykrzywił brwi w trosce. Brandon cieszył się, że przed wizytą zdążył ściągnąć poszarpaną kolczugę i poobijaną zbroję.

– A jakoż się trzymasz? W końcu jesteś bohaterem. Uratowałeś wielu ludzi. I to w pojedynkę!

– Ja, panie? Zmęczony jestem tylko. Odespać mi trza.

– Na pewno? – popatrzył na niego poważnie. Chłopak zdecydowanie pokiwał głową. Nieważne, że gdy to zrobił, czaszkę przeszył mu ból. – To słuchaj mnie uważnie. Pokonanie potwora i to pierwszego dnia to nie byle co. Rozmówiłem się z komendantem straży i chcemy cię nagrodzić, jednakowoż jest jeden warunek.

Brandon uniósł brwi. Nagrodzić?

– Tak, wiemy że może to zbyt prędko. Jeny coraz częściej napływają do nas skargi. Coś się dzieje na cmentarzu. Ludzie powiadają, że w nocy słyszą jakieś zawodzenie – machnął ręką. – Gdyby tylko to, tobym zignorował te ich biadania. Jakiś trzask i od razu potwory. Ale rano odkrywamy zdemolowane groby. Czasami nawet rozkopane.

Na dworze odezwała się sowa. Jej pohukiwanie rozległo się jak grzmot w zaległej ciszy. Brandon nawet nie zauważył, kiedy minął cały dzień i zaszło słońce. Cóż, trudno rozpoznać godziny w domu bez okien.

– I stąd moja prośba. Ostatnio mamy natłok roboty na rynku. Ludzie się burzą, psiakrew. Choć trudno się dziwować – zima idzie, a jadła już brakuje. Także musimy korzystać z wszelakiej pomocy. Przeto zwracam się do Ciebie.

W powietrzu zawisło nieme pytanie. Szrama na plecach odzywała się bólem. Mięśnie nadal go paliły, a na samą myśl o potworach, przechodził go dreszcz.

– Przemyśl to – klepnął rękoma o kolana i podniósł się do pionu. – Może to jeno jakieś dzikie zwierzęta? No, ale jeśli się zdecydujesz, to kto wie? Na pewno ci to odpłacimy. A może nawet zostaniesz przeniesiony do wyższych dzielnic. Ponoć mają tam bardzo przytulne chaty.

Mrugnął do niego i powoli zaczął się zbierać do wyjścia. Przystanął pod ścianą. Spojrzał na wiszący tam miecz, nadal po części splamiony krwią.

– Ach, więc od tego padł – przesunął palcem po srebrze. Uważnie się mu przyjrzał. Wyglądał, jakby mógł coś z niego odczytać. – Kiedyś będziesz wielki, Brandonie.

I uśmiechnął się do niego, jednak wzrok miał jakoby gdzieś indziej utkwiony. Jak gdyby widział coś odległego, coś tylko mu ukazanego.

Dziękuję, chciał powiedzieć chłopak, lecz Zygfryd już wyszedł z pokoju. Słysząc było tylko, że na chwilę przystaje w przedpokoju. A potem jego kroki oddaliły się i umilkły za trzaskiem zamykanych drzwi.

Brandon więc siedział tak, skulony na niewygodnej kanapie po starym właścicielu, aż odpłynął w krainę snów. Dumał. Chciał wydostać się z tego dusznego i zapyziałego budynku, którego nie mógł nazwać domem. Głównie dlatego, iż zbyt bardzo mu go przypominał. Brud i sadza go otaczały cały czas. Cuchnący fetor dusił, pozbawiał tlenu. Nieskończony potok wspomnień zalewał na jawie, jak i w śnie.

Miał tylko jeden sposób na ucieczkę z tej ciasnej klatki.

*

Minęło pięć dni. Pięć dni, które spędził głównie na spaniu i rozmyślaniu. Rany prawie się zasklepiły, jak i rzadziej nachodziły go ataki bólu.

Matka odwiedziła go raz jeden, dzień po wizycie komendanta. Zaczęła prawić chłopakowi morały, poczynawszy od uzalania się nad biednymi ludźmi i nim samym, aż po unoszenie się nad jego głupotą i lekkomyślnością. Po czym pożegnała się i wyszła.

Brandon w przypływie wściekłości zrzucił ze ściany wiszący tam miecz. Przez kolejne dni leżał na podłodze i nie chciał wracać myślami do minionych wydarzeń. Wypatrywał tylko dnia, w którym odzyska siły na tyle, aby zawalczyć o lepszą przyszłość.

*

Teraz, gdy przemierzał uliczki zatopione w ciemności nocy, zaczął jednak mieć wątpliwości. Na jego oczach cienie przybierały różne potworne postacie. Każdy krok odbijał się echem po pograżonym w śnie przedmieściu. Ścieżkę wyznaczały mu rzadkie strumienie światła z pochodni. Jego buty rozchlapwały na boki mijane kałuże.

Czuł się jak duch, sunący przez wymarłe miasto. Kontrast z ruchliwą ulicą, zazwyczaj aż grzmącą od tysięcy głosów, był porażający. Droga żmudnie mu się dłużyła. Mięśnie drętwiały mu ze stresu. Ścisnął kurczowo w ręce miecz. Im bliżej był celu, tym bardziej przeszywało go przerażenie. Nerwowo przebierał nogami, co chwila rozglądając się wokół siebie.

Minął znajomy mu znak Medyk i skręcił w lewo. Jego oczom ukazała się stara, zardzewiała brama cmentarza. Wejście stało zakluczone. Brandon z ostatkami nadziei szarpnął za klamkę, jednak ani drgnęła. Podniósł wzrok i ujrzał olbrzymią kłódkę. Nie było szans, że zdoła do niej dosięgnąć, a co dopiero ją rozwalić. Westchnął przeciągle. Wiedział, że gdzieś tu niedaleko mieszka grabarz. Nie chciał jednak chodzić ludziom po domach, gdy ciemna noc wisiała na niebie.

Rozejrzał się dookoła. Cała okolica stała w ciemności, co znaczyło że wszyscy spali. Kątem oka dostrzegł coś leżącego na pobliskim straganie. Drabina! Nikt się raczej nie obrazi, jeśli tylko ją pożyczę na chwilę. Ta okazała się o wiele cięższa niż wyglądała. Brandon z jękiem pociągnął ją za sobą. Oparł ją o kamienny mur cmentarza, który pokonał skacząc. Nie wiedział jednak jeszcze jak wróci z powrotem.

– Audentes fortuna iuvat... – powiedział cicho do siebie. Po czym wypuścił powietrze, wstrzymywane w płucach i skoczył. Jednak zamiast tak jak na treningach – czyli wzorowo i zgrabnie – zderzył się boleśnie z utwardzoną ziemią. Ból przeszył jego kości. Po omacku pomacał dłonią po podłożu. W końcu wyczuł rękojeść swojego miecza. Niezdarnie oparł się o niego i podniósł do pionu. Lekko kręciło mu się w głowie. Ciężar zbroi na pewno nie pomagał mu dojść do siebie.

Jego oczy z powolna przyzwyczajały się do ciemności, a nos wyczuł jakiś zapach. Nie tak powinien pachnieć cmentarz. Nie, tak właśnie pachnie cmentarz. Tylko że w bajkach. Albowiem rozciągał się w powietrzu zapach stęchlizny, czegoś umarłego, jednak żadne szczątki nie mają aż takiej woni.

Brandon momentalnie spał się. Nie wiedział jeszcze z czym przyjdzie mu walczyć, ale zdecydowanie to wyczuwał. A skoro zwykły człowiek potrafił poczuć jego aurę, stworzenie od dawna wiedziało o obecności chłopaka.

Najciszej jak potrafił przekradł się do jedynej pochodni, zapalonej przy wejściu. Jeszcze bardziej się przez to obnażał, jednakże wołał widzieć z czym walczy. Zapadła osobliwa cisza. Wszystko zamarło. To nie był spokój, raczej przerażenie.

Woń z sekundy na sekundę coraz to bardziej natężała się. Jej źródło się zbliżało. Odrażający fetor zamienił się w nieznośnie zatęchły smród wysuszonego, zgniłego mięsa. Strażnik rozglądał się na wszystkie strony, ale nic nie dostrzegał. Ciemność skrywała swoich sprzymierzeńców pod swymi skrzydłami.

Gdy Brandon już myślał, że nie wytrzyma tej presji, powietrze przeszył skowyt. A był to odgłos tak przeraźliwy i rozdzierający, iż wielu dorosłych mężów uciekłoby w popłochu. Na czoło młodego strażnika wstąpił pot. Mięśnie stwardniały, jakoby zamienione w glaz. Między grobami zobaczył jakiś ruch. Zbyt szybki, by mógł wypatrzeć co go wykonało. Jednak był gotowy – na tyle, na ile mógł.

Uniósł miecz nad głowę. Ugiął kolana. Przybrał najdogodniejszą postawę do obrony i ataku. Wołał jednak nie zostać zmuszony do samej defensywy. Sekundy leciały, a dla Brandona każda wydawała się wiekiem. Czuł się, jakby tkwił tu już długie tysiąclecia. Puls szumiał mu w uszach. Nie mdlej, nie mdlej, nie mdlej!

Wtem coś zaczęło pędzić w jego stronę. Długi, wychudzony stwór. Biegł na czterech łapach z prędkością gromu. Wtem z jednego, zrobiły się dwa. To ich było więcej, zali to mu dwoiło się w oczach? Nie, zza ich pleców wybiegło kolejne pięć. Wychodziły z każdej strony, zza każdego grobu. To jego koniec.

– Psia mać! – wydostało się z jego ust. Nie były to najlepsze ostatnie słowa. Na szczęście nikt ich nie usłyszał.

Potwór wbiegł prosto na niego, pozbawiając go równowagi. Uderzył ciałem o bruk. Słyszał sapanie stworów. Ich szczękające zęby. Okrążyły go. Czy powinien udać, że nie żyje? Nie wiedział, czy to by na nie zadziało. Starł się niezauważalnie dosięgnąć miecza, jeno nigdzie nie potrafił go znaleźć. Nie zdoła ich pokonać, ale chciał chociaż umrzeć honorowo. Nie jak tchórz. Odgłos obwąchiwania nasilił się. Czy nie powinny go już dawno rozszarpać? Walczył z pokusą, aby unieść głowę. Bał się jednak, że od razu sprowokuje je do ataku. Nie widział, czym są. Nie znał ich przyzwyczajień.

Serce waliło mu jak młotem. Na pewno je słyszały. Zapewne całe miasto słyszało jego przyspieszony oddech, łaknący, aby trwać jak najdłużej. Bogowie, nie dajcie mi tu umrzeć. Nie teraz, jeszcze nie. Poczul wilgoć w oczach. Pozwolił łzom płynąć, wszak nie miał sił, aby z nimi walczyć. Wokół niego grzmiało powarkiwanie, które słyszał tylko na wpeł. Przytulał lico do zimnego podłoża. Wszystko dochodziło jakby zza jakiejś zasłony, odgradzającej go od Ziemi.

Wtem uniósł się nad nimi donośny gwizd. Stwory zaczęły biegać, szaleć. Słyszał ich nerwowe stąpanie. Zaczęły skrzeczeć i rozbiegać się w każdą stronę. Brandon zastygł. Czy to bogowie go wysłuchali? A może śni? Nie, czuł twarde, namacalne kamienie pod dłońmi. Na powrót wróciło cykanie świerszczy. Jednak gdzieś niedaleko nadal słyszał szamotaninę stworzeń.

Powoli, z jękiem, podniósł się z ziemi. Wciąż buzowała w nim adrenalina i stres. Od razu sięgnął po miecz. W całym zamieszaniu upadł kilka metrów dalej. Srebro błyszczało w świetle księżyca. Gdy już się po nie schylał, jakiś dźwięk rozległ się za nim. Coś jak... chrząknięcie?

W tym samym momencie podniósł ostrze i odwrócił się. Zatrzymał się z mieczem uniesionym w górze. Przed nim stał jakiś mężczyzna. Wyglądał strasznie młodo i dziwnie pięknie. Aż nienaturalnie.

– Ach, przekłete nawyki! Staralem się ich tego oduczyć, ale sam widzisz, nie zawsze się da. Bardzo za nich przepraszam – powiedział, a jego głos brzmiał łagodnie i prawie anielsko. Słowa uwięzły Brandonowi w gardle. Nie potrafił ruszyć nawet mięśniem. Obserwował tylko tego osobliwego człowieka. Jego postawa była nienagannie wyprostowana, ruchy płynne

i młodzieńcze. Sylwetkę podkreślały precyzyjnie skrojone szaty. Błądą twarz okalały mu jaskrawe blond loki. Wszystko jednak wydawało się zbyt perfekcyjne, zbyt nadzwyczajne.

Mężczyzna nic nie robił sobie z braku odpowiedzi. Niewzruszony, zbliżał się do chłopaka. Niby młody i zgrabny, jednak chodził jak starzec. Coś dziwnego działo się z jego obliczem. Jakoby jakaś zasłona je przysłaniała. Twarz nieznajomego pozostawała rozmazana, oświecona pozaziemskim światłem, niepozwalająca dojrzeć skrywanego sekretu.

Gdy postać zbliżyła się na kilka stóp, przeobraziła się w inną osobę. Brandon krzyknął. Przerazenie zalało go od stóp do głów. Piękny młodzieniec zniknął. Zamiast niego pojawiło się... to coś. Uwydatnione kości policzkowe zapadły się. Cała twarz pokryła się zmarszczkami. Jego skóra jakby poszarzała. Istota zgarbiła się, osiwiła, postarzała na przestrzeni kilku sekund.

Z jej ust wydobyło się zmarnowane westchnięcie. Wymamrotała coś do siebie.

– Kim jesteś?! – wykrzyknął Brandon. – Mów, diable!

Wycelował w niego miecz. Jednak nieznajomemu nie drgnęła nawet powieka. Wpatrywał się w niego obojętnym wzrokiem. Jakoby znudzony całą tą sytuacją.

– Przychodzisz mnie zabić. I to jeszcze w moim domu! Pięknie, bardzo pięknie... – ostatnie słowa wymamrotał trochę ciszej. Ta odpowiedź całkowicie zbiła strażnika z tropu.

– W twoim domu? – zapytał zdziwiony.

– Tak, w moim domu! To znaczy, może nie - prawnie - moim, ale mieszkam tu dłużej niż ty, twoja babka, a nawet prababka! – oburzył się. Jego źrenice z każdym słowem powiększały się. Natomiast brwi Brandona marszczyły się jeszcze bardziej.

– Czekaj, mieszkasz na cmentarzu?

– Tak! Nie dosłyszałeś ostatniego zdania? – zapytał gniewnym głosem, jednak zagrała też jakaś inna nuta. Zdziwienie?

– Tak, dosłyszałem – strażnik powoli cofnął się. Nie wiedział, czemu ten mężczyzna sobie z nim igra, ani o co w tym wszystkim chodzi.

Nieznajomy zacisnął usta w prostą kreskę. Na powrót jego twarz wykrzywiła się w gniewnym grymasie. Wyglądał nie tyle brzydko, co staro. Może prawil prawdę? Nie, to nie było możliwe... Chociaż, czy mógł tak twierdzić, po tym co przed chwilą ujrzał? Brandon przypatrzył mu się. Wtedy dostrzegł coś. Noc była całkiem zimna. Gdy strażnik oddychał, buchała mu para z ust. A u obcego nie było nawet dymka..

– Czy ty... Czy ty jesteś... - głos uwiązł mu w gardle, niezdolny wypowiedzieć pytania. Bo jeśli to okaże się prawdą, będzie w wielkim, wielkim niebezpieczeństwie. A kłódka wciąż pozostaje zamknięta!

Brandon zamarł. Na twarzy odbijało mu się wahanie. Usilnie walczył z myślami. Znał już odpowiedź. Jednak nadal się łudził – błagał, żeby okazała się nieprawdą. A gdy nieznajomy przymknął na chwilę oczy, zostało przesądzone.

– Tak, jestem wampirem – powiedział z zadziwiającym trudem, wręcz z odrazą, wykrzywiając brwi.

Na Brandona spłynęła fala przerażenia. Nie wiedział, co ma począć. Nie zdoła przeskoczyć muru, a innego wyjścia nie ma. Chociaż nie, pozostał jeden sposób. Zerknął na miecz, wpięty za pasem. Jego przeciwnik najwyraźniej to zauważył.

– Nie da się mnie zabić. Gwarantuję – prychnął, przybierając jeszcze groźniejszą minę.

– Ale da się unieszkodliwić - powiedział strażnik i od razu pożałował tych słów, które wampirowi się nie spodobały.

Chłopak ocenił swoje szanse. Były niskie, praktycznie zerowe. Ale jeśli miał umrzeć, to na swoich warunkach. Skoczył i od razu zamachnął się mieczem. Jednak gdy wylądował, nie napotkał żadnego oporu. Co gorsza, w ręce nie trzymał już miecza! Żelazo błyszczało w dłoni nieznajomego, który z cierpką miną wpatrywał się w Brandona.

– Czy możesz przestać? – zapytał gniewnie.

Brandon zapatrzył się na niego, pełen zdziwienia.

– Czekaj, czemu mnie jeszcze nie zabiłeś?

– A czemuż miałbym to robić? Bogowie, wy ludzie jesteście wszyscy tacy sami!

Wampir przysiadł na pobliskim grobie. Wciąż trzymał miecz strażnika. Srebro najwyraźniej nic im nie robiło. Kolejna bzdura z podręcznika do wykreślenia.

– Jak to? Wampiry przecież żywią się ludzką krwią! – znowu wykrzyknął prędzej, niż pomyślał. Kiedyś porządnie mu się za to oberwie.

– Nie jestem typowym wampirem – szepnął o wiele ciszej, tak, że gdyby nocy nie spowijała cisza, Brandon zapewne by tego nie dosłyszał.

– Co masz na myśli? – zadziwił się. Nadal obawiał się, że to wszystko jest grą, aby odwrócić jego uwagę, jednak nie potrafił ostudzić ciekawości.

– Powiem ci, jeśli przyrzekniesz, że przestaniesz próbować mnie zabić.

Chłopak spojrzał na niego zbity. On go?! Zgoda, może po części zgodne to z prawdą, ale to nie on tutaj stanowił zagrożenie. Do kroćset, on chciał tylko lepszy dom! A zagrzebał się w jakieś tarapaty. Niestety, teraz pozostawało mu tylko jedno wyjście.

– Niechaj będzie – westchnął przeciągle i nieufnie.

Wampir rzucił mu zimne spojrzenie, ale nie skomentował.

– Dobrze, zacznijmy od początku. – Skinął głową pojednawczo. – Jestem Julian van Demhoff.

Strażnik uniósł brwi.

– Brandon – odpowiedział tylko zdeorientowany.

– Dobrze. Więc, Brandonie, po co tu przyszedłeś?

– Hej, to ja miałem zadawać pytania!

– Ale to mój dom.

Chłopak westchnął tylko.

– Ludzie skarżyli się na jakieś hałasy z cmentarza. I rozkopane groby. Teraz już wiem, co je powoduje.

Wampir pokręcił głową.

– Ach, oczywiście. Staralem się ich tego oduczyć, ale bestie za żadne skarby nie chcą przestać! Może ghule czują zbyt wielkie przyciąganie do szczątków. W końcu od nich się wywodzą.

– Poczekaj! Tresujesz ghule?! – wykrzyknął zdziwiony.

– Tak. Tylko one zdają się rozumieć moją naturę – powiedział jakby do siebie.

– Och, no jasne... – szepnął Brandon. – Co znaczy, że nie pijesz ludzkiej krwi?

Wolał znać odpowiedź, zanim będzie wchodził w jakąkolwiek rozmowę z tym... kimś.

– Ja, hm, nie potrzebuję jej. Po tylu latach nadal nie doszedłem do tego jak to się stało.

W przeciwieństwie do innych wampirów, moje ciało zgniło. Nie mam już czego odżywiać. Jedynie czar działa, jednak i on się wyczerpuje.

Hmm, to by coś wyjaśniało. Jednakże chłopak nadal niewiele rozumiał. Miał tyle pytań. Nie chciał jednak drażnić wampira.

– A jakże stałeś się... – nie wiedział, jak poprawnie ująć jego przypadłość. – Obudziłeś się jako wampir?

– Och, to było szmat czasu temu. Na pewno chcesz to usłyszeć?

Chłopak skinął głową. I tak nie miał jak stąd wyjść. Równie dobrze mógł przeczekać, aż się rozjaśni. Julian – o ile faktycznie tak się nazywa – już raczej dawno by go zabił, jeśli chciał?. Może księgi kłamały? Na razie w większości spraw się myliły. A może on faktycznie był inny?

– Od czego mógłbym zacząć? – mruknął do siebie. – Van Demhoff to moje rodowe nazwisko. Mój ojciec był hrabią na zamku. Nie był on wielki – zaledwie dwa piętra i mały dziedziniec.

Z dzieciństwa pamiętam, że większość spiżarni i zbrojowni stała pusta. Jednak sam tytuł mu wystarczył, aby zaczął się wywyższać. Rozpaliła się w nim ogromna ambicja i chęć posiadania. Mimo tego, że na początku byliśmy całkiem biedni, nie powstrzymało go to od trwonienia pieniędzy. Słudzy, których zatrudniał, nie wytrzymywali długo. Ojciec był dla nich okrutny. Pomijał nimi i poniżał, chociaż swój tytuł otrzymał nie za zasługi, ale przez dziedzictwo. Nie różniło ich nic oprócz urodzenia – ramiona opadły mu bezwładnie. Wpatrywał się w ziemię, jakby widział wszystkie stare obrazy w swojej wyobraźni.

– Jakoś udawało nam się przeżyć – głównie za pieniądze z brudnych interesów. Nigdy nie dowiedziałem się, z czego dokładnie pochodziły. Wtedy cieszyłem się z dachu nad głową i okazjonalnych wykwinności. Głupiec ze mnie. Dopóki dziadek nie zmarł, mieszkaliśmy z rodzicami w chacie na obrzeżach miasta. Kontrast był diametralny. Tedy wszystko wydawało mi się ogromne. Wprost nieprawdopodobne. Ojciec najpierw też tak uważał. Aż się przyzwyczaił. Komnaty nie były wystarczające, nie dość dostojne jak na niego. Konie niedostatecznie piękne i szybkie, ze zbyt pospolitymi siodłami, o za normalnej maści. A rodzina stała się nazbyt nie pasująca do jego idealnego obrazka.

W oczach Juliana błyskał ból. Wyłączył się z tamtych czasów, jakoby przechowywany w ukryciu.

– Staraliśmy się z matką za nim dogonić. Gdy zyskał rozgłos, zaczęły się wystawne bankiety i ucztę. Obracaliśmy się w wykwinnym towarzystwie. Spotkałem tyle wytwornych dam i szarmanckich szlachciców, że nie pamiętałem więcej niż trzech nazwisk. Każda w jedwabnych, opierzonych sukniach i z pierścieniami wypchanymi kamieniami, idealnie ułożonymi na wypielęgnowanych dłoniach. Wszystkie stały z wymuskanymi mężami u boku. Cali wystrojeni, żeby przykryć narcyzm i egoizm, kłębiący się pod warstwą ubrań. Równocześnie śmiali się z wyselekcjonowanych żartów, trzymali się pod rękę z idealną postawą, tańczyli, robiąc perfekcyjnie wyćwiczone kroki. Ojciec oczywiście starał się dotrzymać pola. Kupował nam idealne, szyte na miarę ubrania. Co miesiąc dostawałem - a to nowe pantofle, a to muchę. I tak w kółko. Matka otrzymywała zazwyczaj piękne suknie i perły. Z takimi wydatkami pieniądze z testamentu szybko się wyczerpały, jednak on nie potrafił się przyznać do porażki. Później nowe ubrania zastąpiły stare, co jakiś czas lekko przerabiane, aby wyglądały na świeżo zakupione. A hrabia zamiast

zwolnić, jeszcze częściej przyjmował zaproszenia. Starał się wypełnić pustkę, dowieść swojej wartości. Przy tym coraz to bardziej brnął na dno i gubił się w próżności, i egocentryczności. Matka starała się sprostować jego oczekiwaniom. Och, jak się starała! – zwiesił głowę. Jego twarz zmarszczyła się jeszcze bardziej - o ile to możliwe. Brandonowi na sam ten widok ścisnęło się serce. Julian ciągnął dalej, lecz wzrok miał utkwiony w ziemię.

– Była bardzo sroga zima. Jedną z najgorszych dotychczas. Zostaliśmy biedakami w maskach bogaczy. Nigdy nikogo nie zapraszaliśmy, oszczędzaliśmy na wszystkim. Ojciec dawno zamknął się w sobie. Rzadko się do nas odzywał. Siedział zamknięty w swoich komnatach albo wałęsał się po biesiadach. Do tego czasu jednak dorobił się wielu wrogów. O wiele więcej niż sojuszników. Nie krył się ze swoimi kontrowersyjnymi poglądami, operował ciętym językiem, a jego mimika była jak otwarta księga. Toteż wcale się nie zdziwiłem, kiedy całe miasto poczęło nim gardzić. Zaczęło brakować nam drewna na opał. W nocy musieliśmy leżeć pod górą koców i futer. Często wychodziłem do różnych tawern, bo tam zazwyczaj było cieplej niż w zamku. Siedziałem tam, dopóki mnie nie wyrzucili. Tułałem się po ulicach, jeno tam nie wracać. Nie miałem przyjaciół, jak mogłeś się domyślić. Oczywiście, gdy odziedziczyliśmy tytuły, nagle kilku starych znajomych pojawiło się znikąd. A później znikali, równie szybko, jak się pojawili – wampir zacisnął dłonie. Siedział sztywno na samym koniuszku grobu. Brandon nie zauważył, kiedy on sam przysiadł na nagrobku obok.

– Pewnego wieczoru, po całodziennym szwendaniu się po mieście, wróciłem do domu. Na samym wejściu wiedziałem, że coś jest nie tak. Nie wiem, czy tak miałeś, ale coś wisiało w powietrzu. Cały budynek stał zatopiony w ciszy. Zbyt dziwnej, zbyt zimnej... Przeszukałem cały dziedziniec, wszystkie piętra, a nawet pokoje służby. Już chciałem zrzucić to na paranoję. Ale wtedy stanąłem przed lekko uchylonymi drzwiami, których nie sprawdziłem. Głęboko w sercu wiedziałem, że to te. Że wszystko teraz się zmieni. Świat dookoła nich zamarł w oczekiwaniu. — Uchyliłem drzwi i moim oczom ukazała się zgarbiona postać mojej matki. Na pierwszy rzut oka wydawać się mogło, że śpi. Podbiegłem do niej i przytuliłem do siebie. Ona jednak była zimna na śmierć. Nie oddychała. Zapewne już od dłuższego czasu.

Brandon wstrzymał oddech. Przed oczami od razu stanął mu obraz jego matki. Matki, z którą tak często się kłócił, a która tak bardzo go kochała. Nie wyobrażał sobie, co zrobiłby na miejscu Juliana.

– Była chora od dłuższego czasu. Ojciec jednakowoż twierdził, że to nic takiego, iż szkoda wydawać pieniądze na medyka i inne podobne bujdy. Później całkowicie to ignorował, nie odpowiadał. Matka zapewniała mnie, że czuje się coraz lepiej i raz-dwa powróci do zdrowia. Czułem, że to nieprawda, ale naiwnie przytakiwałem, myśląc iż prędzej, czy później faktycznie jej się poprawi. Gdy ja grzałem się w ciepłych karczmach, ona siedziała w tym przeklętym miejscu. Aż zamarzła. A ja nie mogłem już nic uczynić. Nie umiałem cofać czasu, choć tak bardzo pragnąłem to zrobić. Oddałbym wszystko. Wszystko!

Nastąpiła ponura cisza. Strażnik nie chciał jej przerywać. Pozwolił wampirowi opanować na nowo rozbudzone emocje. Wiedział, że to było dla niego ogromne wyzwanie, nawet po tych wszystkich latach. Chłopak siedział zziębnięty na chłodnej kamiennej płycie, ale w jego sercu płonęły emocje. Współczucie rozrywało go od środka.

– Mogłoby ci się wydawać, iż nie byliśmy aż tak blisko – podjął van Demhoff – lecz ona stanowiła dla mnie autorytet. Podziwiałem ją od najmłodszych lat. Była nie tyle przepiękna, co bystra, inteligentna. Zawsze przekładała dobro moje i ojca ponad swoje. Cierpiała katusze na zamku, bo wiedziała, że jej mąż kocha to miejsce. Ludzie mogliby nazwać ją za to tchórzem, ale ja nie nigdy. W moich oczach pozostała jako odważna, niedoceniona kobieta. A gdy zmarła, nie potrafiłem wytrzymać pustki. Była jedyną osobą

na tym świecie, którą kochałem - oczy Juliana zasłoniły się mgłą. Słowa zdawały się wypływać nie z ust, lecz z serca, które dawno przestało bić.

– Świat dawno przestał mnie obchodzić. Jednak wtedy stał się wręcz odrażający. Dnie wypełniał mi smutek i boleść. A noce ciągnęły się w bezsensnym ciężarze. Nabyłem sztylet. Za moje samodzielnie zarobione pieniądze. Nie mogłbym znieść myśli, że miałbym użyć czegoś, co należało do ojca. Udałem się do ulubionego miejsca matki. Kiedyś stała tutaj wielka sosna. Naprawdę ogromna. Jako dziecko, zawsze razem tu przychodziliśmy. Czasem opowiadała mi pod nią historie. Czasami wspinałem się po gałęziach, aby obserwować ptaki i spokojne życie miasteczka. Innymi razy robiłem dla niej wianki z liści, które rozpadały się praktycznie od razu. Jednak ona zawsze z chęcią je zakładała i wychwalała pod samo niebo.

– Tamtego dnia padało. Uznałem to za idealną pogodę. Świat opłakiwał moją matkę za mnie, bo ja już nie miałem w sobie łez. Czułem pustkę. Lecz kiedy wyciągnąłem z pochwy ostrze, bałem się. Stałem pod drzewem, przemoczony do cna i trząsałem się z przerażenia. Ale wiedziałem, że nie ma dla mnie innego wyjścia. Matka rozpoczęła moje istnienie i wraz z nią się kończy. A więc pchnąłem. Prosto w moje rozpadłe serce. I wtedy zapadła ciemność, która nie była wiecznością, choć tak jej pragnąłem...

Cisza grała w myślach Brandona. Już dawno zabrakło mu słów. Niewyobrażalna strata i ból, jaki przeżył ten mężczyzna, nie mieściła mu się w głowie. Zgarbiony starzec urósł w jego oczach do wielkiego, odważnego wojownika. Broń zaczęła mu ciążyć. Zalał go wstyd za to, jak prędko chciał go osądzać. Jak szybki był do mordu.

– Jakim cudem się obudziłeś? – mruknął cicho Brandon.

– Cudem? – prychnął smutno wampir. – Jestem samobójcą, ot dlaczego. Nie zasługuję na wieczny spoczynek. Toż to dopuściłem się czynu świętokradzkiego.

– Ale co robiłeś? Jak już... się przebudziłeś?

– Nie wiedziałem, co ze sobą począć – przyznał. – Zostałem całkowicie sam. Jak jeszcze nie widziałem się w odbiciu, wyszedłem na ulicę. Wszyscy dookoła rozbiegli się w krzyku przerażenia. W końcu sam wiesz, dlaczego – powiedział wyrozumiale. a chłopak zwiesił głowę.

– Ukrywałem się w cieniu. Szukałem kryjówek bez ludzi. Nigdy się nie męczyłem, nie potrzebowałem snu ani jedła. Po prostu istniałem. Trwałem w wiecznej samotności z błyskającymi w pamięci wspomnieniami. Szukałem poszlak innych wampirów. Zajęło mi to dobrych kilka dekad. Kiedy w końcu je wytropiłem, okazało się, jak bardzo się różniliśmy. Oni byli okrutni, niecierpliwi, ciągle żądni ludzkiej krwi. To niekończące się łaknienie mordów i pogarda dla wszystkiego co żywe. Nie potrafiłem patrzeć na męki ich ofiar. Byłem poniżany za niechęć do ich rytuałów. Po czasie, uciekłem.

– A wtedy już zostałem absolutnie i doszczętnie sam. Niepasujący do ludzkiego świata, niepasujący do świata umarłych. Obserwowałem jak kolejne pokolenia rodzą się i umierają. Jak świat się zmienia, wymyśla nowe świetności i zatapia się we krwi. Nie mogłem się jednak tym cieszyć. Tedy bytowałem na skraju świadomości, błagając, aby przestać.

Brandon uznał to za zakończenie. Nie podobało mu się ono. Pozostawało dla niego to niepojęte. Wieczne trwanie. Jak jakaś istota mogłaby egzystować tak długo? Jednak pozostawała jedna, niejasna dla niego rzecz.

– A skąd więc wzięły się tu ghule? – spytał.

– Och, sam nie mam pojęcia. Prostu... się pojawiły. Może mnie jakoś wytropiły? Mój zapach jest zapewne równie stęchły co ich - jego kąciki ust leciutko się uniosły. – Nie chcą ode mnie odejść na krok. Gdzie nie pójde, ciągle za mną łążą.

– Co? Tak zwyczajnie?

– Ja też nie rozumiem. Ale mimo tego nadal są zwykłymi ghulami. Udało mi się je przekonać, aby nie atakowały ludzi i w dzień siedziały w swoich norach. Nie pytaj jak – sam nie wiem! Wszak nie potrafię oduczyć ich rozkopywać grobów i dewastować ciał. Zapach jest dla nich zbyt intensywny i apetyczny.

Na samą wzmiankę o potworach, w oddali rozniósł się cichy skrzek. Odgłos pisku pazurów na kamieniu. Do nosa Brandona doleciała fala smrodu. Momentalnie się skrzywił. Opanowała go ogromna odraza. Jednak dokonał już wyboru – nie wiedział jak dawno – ale miał pewność, że był on słuszny.

– Czy możesz mi obiecać, że postarasz się, aby przestały? – zapytał Juliana.

– Oczywiście! Jednak to potrwa.

– Dobrze więc – stwierdził i podniósł się z miejsca. Miecz włożył do pochwy i poprawił zbroję. Lekko się już przejaśniło. Na tyle, że trafi do muru z dwoma sprawnymi nogami.

– Czekaj! Co ty robisz? – poderwał się wampir. – Nie zabijesz ich? Przecież po to tu przysześ.

– Nie, nie uczynię tego – wyrzekł twardo Brandon. – Gdybym pozbył się twoich przyjaciół, byłbym bez serca.

Na twarzy Juliana przemknęło zrozumienie. Jakby w końcu uświadomił sobie, iż nie jest sam, że ma przyjaciół – i to nie jednego. Oczy mu się zaszklily, lico złagodniało. Zrzucił on ciężar ze swych barków, targany od tak dawna. Na powrót napełnił się nadzieją i namiastką szczęścia.

Brandon pożegnał się, najlepiej jak potrafił. Albowiem podszedł i objął wampira. Mężczyznę. Syna wspaniałej kobiety. Człowieka, który przetrwał męki. Odważną istotę, która przetrwa wszystko i wszystkich. Jednak przede wszystkim utulił Juliana.

Juliana, który był kimś więcej niż tylko synem swojego ojca. A mimo postaci potwora, jego duszy nie strawiło okrucieństwo.